Nr 14. 1860. 31 Grudnia.

NIEWIASTA.

Numeru 13go rozesłać c. k. władza policyjna nie dozwoliła nam.

Redakcya.

Na zakończenie roku.

Rok się zakończył, i przeszłość urosła —
I bliższa przyszłość, pewniejsze nadzieje,
Fala nas dziejów z mielizny wyniosła,
I wiatr pomyślny łodzi życia wieje —
Więc nam sterować w jedności szeregu
Do brzegu! prędzej do brzegu!

Rok się zakończył — pełen trosk i bolu,
Lecz i w nim błysła nie raz łza radości,
Na wielkiem naszem narodowem polu
Urosły plony wiary i miłości —
Z niemi, postępu nie tamując biegu,
Do brzegu! prędzej do brzegu!

Rok się zakończył; przyszłość się zaczyna
Bogu cześć za to, że sie ku nam śmieje,
Wielką i ważną każda w niej godzina,
Bo w rzeczywistość zmienią się nadzieje...
A więc po długim w ciemnościach noclegu
Za światłem! dążmy do brzegu!

J. K. Turski.

Romantyczność w religii.

Nieznana to była roślina w kościele katolickim. Nigdy nikomu w dawniejszych wiekach nie przychodziło na myśl, być pobożnym dla tego, że obrzędy religii katolickiej tak są piękne, tak czułe, tak chwytające za serce. Ojcowie święci uważaliby to za ubliżenie wzniosłości religii Chrystusowej, i niemal za profanacyą, żeby kto dla czułostkowej nadobności wiarę Bożą wysławiał. I słusznie! W istocie rzeczy bowiem tak to wydaje się, jak gdyby syn lub córka oświadczali swej matce, iż dla tego ją kochają, bo piękna, bo przyjemna, bo gustownie się ubiera.

Zkądże się tedy wzięła romantyczność w religii? Znajdujemy ją w nowszych dopiero czasach; w dziewiętnastym wieku pojawia się najprzód we Francyi, po wskrzeszeniu tamże religii, potłumionej rewolucyą francuską. Napoleon Iszy zaprowadza na nowo zniszczony kościół katolicki we Francyi i robi konkordat z Ojcem świętym Piusem VII. Wiara i pobożność odnowioną rozwijają się siłą. Ludzie świeccy, nie znający teologii, ale nabożni, przytem romantycy, powieściopisarze, zaczynają przewodniczyć w religijnem odrodzeniu. Wspomnijmy tylko o *Chateaubriandzie*, który europejskiej na tem polu nabył sławy, i rzekłbym, że prawie epokę we Francyi stanowił. I nie małą zaiste w swoim czasie oddał on religii przysługę. Zwracał albowiem swą działalność przedewszystkiem do niewiast, do matek, do dziewic. W uroczych powieściach malował piękność chrześciaństwa, tym sposobem wniósł, że tak rzekę, religijną lekturę, na salony, na tualety, i zniewolił, że tak się wyrażę, sentymentalnością do uczuć pobożnych.

Podobało się to.... skutek był widoczny. Szczególniej niewiasty uwielbiały Chateaubrianda i garnęły się do przybytków Pańskich.

Widząc to duchowieństwo nie tylko we Francyi, ale i w całej Europie, przylgnęło do tego ruchu, i popierało go swą powagą.

W naśladowaniu Chateaubrianda znalazł i Wiedeń swego *Silberta*. Miękki, słodki, czuły aż do ckliwości, na pozór mistyczny, w rzeczywistości raczej sentymentalno-romansowy, w swoim czasie niemały wpływ wywierał.

Na naszej ziemi ta roślina nigdy się przyjąć nie mogła. Pozostała ona zawsze egzotyczną. Zaszczepiały ją w serca naszych niewiast zagraniczne guwernantki, i wyjątkowo niektórzy księża, mniemając iż tym sposobem znajdą sposób odznaczenia się od innych. Tradycyjna ojców i matek naszych pobożność za nadto była głęboka i poważna, aby się w ckliwej rozpływać mogła sentymentalności. Jeżeli pewna część niewiast, na francuskich kształcona powieściach, więcej z mody jak z przekonania temu uległa prądowi, większe nierównie naszych matron grona z dala od tego trzymały się ruchu, i nietylko, że jemu nie poklaskiwały, ale przeciwnie instynktowo poczuwały jakiś nienaturalny rozdźwięk, jakąś dysharmonię w tej rzeczy. Mężczyzni zaś, z nader

rzadkiemi wyjątkami, z oburzeniem prawie odwrócili się od tego ruchu; wielu z nich, przy istotnej z resztą pobożności, z głęboką niechęcią, a nawet ze wstrętem, o tej całej wyrokowali sprawie.

I jakaż tego wszystkiego przyczyna? Czy Chateaubriand temu winien? Odpowiadamy: Nie. Ale idea jego, wyszedłszy z karbów naturalnego rzeczy biegu, wyrodziła się i skoszlawiała. Naśladowana sentymentalność zaledwo na scenie zająć może, a gdy staje się przesadną, wzbudza odrazę. Przytem, osoby tego rodzaju gonią najwięcej za wrażeniami, a kto nie podziela ich ruchliwości, tego prawowierność wnet w podejrzenie podają, monopol prawowierności sobie przypisując wyłącznie. A gdzie czułostkowość zastępuje naukę wiary i jej istotne zasady, gdzie powieść i romans stają na równi z głoszeniem słowa Bożego i z pobożnem duszy do Boga wzniesieniem, tam pewien rodzaj szarlataneryi nader swobodnie rozwijać się może i zastępować religijne namaszczenie, z upodleniem kościoła Chrystusowego, i z wielką dusz szkodą. Szczęściem, że kościoła Chryst. nikt upodlić nie zdoła.

Przeto proszę i zaklinam każdą matkę, której droga jest świętość duszy jej córki, by nader uważnie w religijnem prowadzeniu dziecka swego na to baczyła, że niezmiernie wielka i ważna jest różnica między religijnem przekonaniem, a tak zwaną religijną sentymentalnością, i że między serdeczną pobożnością a nabożną czułostkowością nader znaczny jest przedział.

X. W. Serwatowski.

SPRZEKA.

Co to za bieda z sprzeczną mą dziewczyną,
Co to za bieda, kiedy się kto kocha!
„Tak“ jej powiedzieć — to dziewczyna płocha
Zaraz: „Nie!“ powie nieszczęsną godziną!
Na blask księżyca, powie że blask słońca
Na niw zieloność, że to błękit nieba;
Prostym sposobem niedojść z nią do końca,
A więc ją z mańki jeno zajść potrzeba.

Więc obojętnie mówię do niej z cicha:
„Wiem doskonale, że kochać niemoże,
Kto się na miłość złośliwie uśmiecha;
Wiem z przekonania, że zielone zboże,
Nie jest zielonem lecz niebios koloru,
I wiem, że słońce jest gwiazdą wieczoru,
Że księżyc we dnie przyświeca i grzeje,
Gorąco w zimie a chłodnawo w lecie;
I wiem, że odkąd tak się w świecie dzieje,
Pani jest brzydką, jak żadna na świecie!

W tem moja sprzeka powie trzpiotowata:
„Jak pan tak kłamać bez litości może?
Błękit jest modry, zielone jest zboże,
W dzień słońce świeci dla bożego świata,
A w nocy księżyc świeci bladolicy,
Mroźną jest zima, skwarnem lato nasze.
A ja, ja znowu tak ludzi niestraszę!
Ja wiem co miłość — mam serce dziewicy,
Zdolne miłości, jeśli kto zasłuży;
I już, już pana niechcę droczyć dłużej,
Skoro pan tylko kłamstwa swe odwoła.“

Wtedy ja klęcząc przyznaję w pokorze:
Śnieżną jest biała jasność twego czoła,
Błękitnojasny blask twego spojrzenia,
Postać i dusza i serce Anioła!
Słońcem niebiosa przez dzień boży świecą,
Jak twoje oczy w chwili uniesienia;
A kiedyś smutna, to twe łzawe oczy
Podobne niby dwóm bratnim księżycom,
Gdy chmurka ciemna cichy blask ich mroczy...
Niwy zielone są — a szklistą woda
Błękit niebieskim — o cudnym świat Boży!
A teraz — teraz wieczysta pogoda
Skrzydła, jak Anioł, złożyła na świecie:
Bó mi zaświtał twój rumieniec hoży,
Wieszczący miłość twą — sprzeczne me dziecię!

Życie kąpielne.

Szkic obyczajowy.

(Dokończenie)

XIII.

Po chwili zbliżył się Adam do Heleny. Helena zirytowana do żywego z wypieczonemi rumieńcami czekała na to.

— Panie Adamie! rzekła, proszę na chwilę rozmowy.

Odstąpili oboje kilka kroków między mniej dystyngwowanych wizytatorów źródła. Helenka zaczęła rozmowę po francusku:

— Panie Adamie, dowiedziałam się od moich rodziców, żeś dzisiaj uczynił krok stanowczy. Bolesno mi, że o tem nie byłam uprzedzoną, jak gdybym w całej sprawie podrzędną grała rolę, jak by chodziło tylko o wypełnienie obowiązku ze strony pana. Nie wytłumaczoną dla mnie zaś jest rzeczą, żeś go uczynił w czasie, gdzie nasze stosunki, dzięki dziwactwom pana, nie są w kwitnącym stanie.

Adam cofnął się z podziwu. Nigdy nie widział Helenki w takiem usposobieniu. Uczuł atoli całą słuszność jej zarzutów. Krok jego u kapitanowstwa był niestety podyktowanym, jeźli nie charakterem, to obawą przed słabością jego własnego charakteru. Adam czuł, że jego przywiązanie do Helenki osłabło, chwycił się formy, aby uratować treść, przyspieszył związek ciał, aby uratować związek dusz. Przez miłość własną, wygórowaną w jego rozkapryszonej naturze, nie chciał jednakże przyznać słuszności Helenie; ale chwycił się z rozkoszą jej gniewu i odrzekł z przekąsem:

— Niewiedziałem nigdy, że krok przywiązaniem podyktowany tyle gniewu w pannie Helenie obudzi.

— Przywiązaniem? odpowiedziała Helena z goryczą, czyliż ironia tych słów ma być jego dowodem?

— Mnie się zdaje, że nie brakowało nigdy na dowodach z mojej strony.

— Zapewne, rzekła Helena ze smutkiem. Pan byłeś przywiązany do mnie, a dziś chciałeś dopełnić miarki. Ale ja nie mogę przyjąć tego poświęcenia.

— Piękna nagroda — mówił z goryczą Adam. Więc zmieniły się uczucia pani? Niestety czułem to od dawna. Czy gładki pan August przypadkiem nieodebrał mi mojej dawnej Heleny!

Był to tancerz, krewny hrabiny, który na balach uporczywie zamawiał się do wszystkich tańców.

— Uważam to za rzecz poniżej mej godności, tłumaczyć się, rzekła Helena z dumą i płonąca gniewem na to podejrzenie.

— Więc mamy rozejść się bez tłumaczenia.

— Jak się panu podoba.

— Więc — Adieu!

— Adieu!

Tak się rozeszli państwo młodzi, zbliżając się do Trymdyszewskich. Trymdyszewska, skończywszy właśnie długą z Sylwercią rozmowę, spojrzała na oboje i rzekła z zgryzotą:

— A co? państwo poirytowani! Pfe! pfe! Pogódźcie się....

Helenka uśmiechnęła się przez łzy, Adam zgrzytając zębami.

— Ależ my wcale spokojni, mówiła Helenka.

— I uzdrowieni, dodał Adam.

Helenka na to słowo schyliła się nad źródło i raz pierwszy kazała sobie podać kufel wody mineralnej.

XIV.

Adam uważał się za uwolnionego, chociaż w gruncie duszy niezerwał z Helencią. Była ona zawsze najmilszą i najdroższą mu osobą — ale milszą jeszcze była mu rola nieszczęśliwego kochanka. Puścił się atoli na najlżejszą rozpacz, na rozpacz Don Juana i Child Harolda i postanowił się kochać na zabój w lewo i w prawo. Helencia miała być ukaraną.

Najbliższym przedmiotem sentymentów Adama została Sylweryna. Adam towarzyszył jej w konnych przejażdżkach, woził swoim koczykiem familią Trymdeszewskich, przesadzał się w grzecznościach wszelkiego rodzaju. To sprowadziło wielką i stanowczą burzę na kąpiele.

Hrabina Trzyprztycka ujrzała się pobitą. Adam bywał wprawdzie u niej, ale nie umizgał się do żadnej córki. Karykaturalność mamy i taty, sztywność hrabianek stanowczo go od tego odwróciły. Srogi gniew opanował zwyciężoną hrabinę. Tryumfujące spojrzenia Trymdyszewskich pogorszyły stan rzeczy. Hrabina postanowiła się zemścić, zdemaskować przeciwniczkę lub przynajmniej zrobić jej afront.

Wojna, która stała się nieuchronną, zaczęła się podjazdami bajek i obgadywań wzajemnych. Przedewszystkiem zaś starała się hrabina pozyskać męczenniczkę sprawy, Helencię.

Helencia była prawdziwą męczenniczką z wytrwałem sercem i nie złamaną siłą woli. Patrzyła obojętnem okiem na sukcesa Sylwerci, na grzeczności Adama robione rywalce, bo nawet zachowała przyjaźń dla niej, mówiąc sobie w duszy:

Zapewne, oni dla siebie stworzeni. Lepiej, że się tak stanie, jak żeby on miał zostać nieszczęśliwym.

Ale w głębi duszy sroga panowała boleść. Helencia cierpiała nad zburzeniem całego świata marzonego szczęścia, cierpiała nad upadkiem szacunku, który wprzód czuła dla Adama. Niezadługo więcej się pokazało przyczyn smutku. Sylwercia w miarę wzrastających nadziei stała się dla niej obojętniejszą. Niecierpliwiła się jednostajnością jej smutnego humoru i z złośliwą trzpiotowatością chichotała przed nią z Adamem. Adam patrzał w Helencię, czy nie dojrzy śladu żalu? Helencia była surową i zimną; ale ileż cierpiała natenczas!

W miarę jak Sylweryna obojętnością zaczęła odpłacać serdeczną i szlachetną przyjaźń Helenci, Trzyprztycka zbliżyła się do niej z córkami. Helencia dała się złowić. Przedstawiono jej wszystko jako niecną intrygę Trymdyszewskich. Biedna dziewczyna nie chciała uwierzyć, nie wierzyła. Serce jej święte nie mogło pojąć tyle podłości. Tylko, gdy Sylweryna nieprzestawała okazywać jej zimna i szyderstwa, chwilami chwytała się myśli, że to może prawda. Ta myśl przejmowała ją ostatnią goryczą. Ona zbolałem sercem tak szczerze przylgnęła do przyjaciółki.

XV.

Było to na balu. Muzyka grała ochoczego mazura — Helunia odmówiła kilku tancerzom, czując potrzebę spokoju. Zadumana siadła w kącie, gdy zjawił się nagle Adam i siadł przy niej.

Niepotrzeba zapewne czytelnikom mówić, że Adam nie kochał się w Sylwerynie. Trzeba im jednak powiedzieć, że się kochał jeszcze w Heluni, o tyle, o ile się mógł kochać. Chciał on komplanacyi, sceny czułej, chciał, aby Helunia przyznała mu słuszność właśnie dla tego, że niemiał słuszności.

— Pan nietańczy, rzekła obojętnie Helunia.

— Nie.

— Ach prawda. Panna Sylweryna tańczy z kim innym.

— Panna Sylweryna? A cóż mnie panna Sylweryna obchodzi?

Z czegoż to pani wnosi?

— Skoro pan Sylcię bałamucisz.

— Ale ja jej niebałamucę. Że ona się bałamuci . . .

— Tak? to winszuję panu postępu w godności moralnej.

— Więc to panią tak na seryo obchodzi?

— Naturalnie, bo Sylcia jest moją przyjaciołką.

— Zresztą nic? A gdybym pani powiedział, że mnie nieobchodzi dlatego, że panią i tylko panią obchodzi . . .

— Panie Adamie! proszę mnie uwolnić od swoich szyderstw.

— A gdyby to było prawdą?

— Tobyś pan był zawsze niegodnym człowiekiem, bałamucąc Sylcię.

— Tak, rzekł Adam, zacisnąwszy zęby. Postaram się uratować moją godność człowieczą w oczach pani.

W tej chwili Sylweryna wybrała Adama do mazura. Adam tańczył z energią, a skoro się mazur skończył nieopuścił już Sylweryny. Tańczyli walca, polki, kadryle, tańczyli szalenie. Helence głowa pałała, światła jej przed oczyma latały. W mgle ich widziała jak Adam przysiada się do rywalki i obsypuje ją grzecznościami. Po chwili Sylweryna zbliżyła się do Helenki i złośliwie mierząc ją oczyma szepnęła:

— Cóżeście mówili z Adamem?

— Nic szczególnego. Ale wy coś ważniejszego mówili ze sobą . . .

— My? No przed tobą niemam sekretu. A peu près oświadczył mi się . . .

Na to słowo straszliwe, Helence ciemno się w oczach zrobiło — i po chwili ruch osób ku stronie, gdzie siedziała, dał znać, że się coś niezwykłego stało.

Helunia zemdlała.

Trzyprztycka z córkami skoczyła ku Heluni. Moment zdawał jej się korzystny — podtrzymywała biedną dziewczynę i skrapiając ją wodą, którą przyniósł przelę-

kniony Adam odtrąciła łokciem nadbiegającą Trymdyszewską, mówiąc pełnym oburzenia i na całą salę słyszanym głosem:

— Intrignante!

Wszyscy zrozumieli znaczenie tego słowa, nawet Adam. Trymdyszewska zbladła jak ściana, niezapominając jednak języka w gębie odezwała się również głośno.

— Co mówi pani Baronowa starego zakonu?

Takim sposobem stał się w kąpielach 1mo szkandal 2do tragiczny wypadek.

XVI.

Nazajutrz kąpiele podobne były do ula pszczół rojącego się. Szeptano, chichotano, śmiano się, robiono przypuszczenia. Bohaterów tragicznych i komicznych wczorajszego wieczora długo niewidać było na promenadzie.

Powiadono tylko z tradycyi służących (a ciekawi i służących się pytają), że w obu domach wojnę prowadzących toczyły się długie rozprawy między magnifikami i małżonkami przy drzwiach zamkniętych.

Powiadano, że panna Helena zupełnie zdrowa siedziała rano w oknie swego pokoiku.

Widziano jak pan Adam pospieszył do domku kapitanostwa w świt, aby się dowiedzieć o zdrowiu panny Heleny. Biegał tam jeszcze kilka razy, aż o 11tej go puszczono. Panna Sylweryna wyglądała za nim oknem, ale on się nieukłonił. O tejże godzinie jedenastej widziano, jak z obu domów pryncypalnych wyszli o jednym czasie pan Trzyprztycki i pan Trymdyszewski. Spojrzeli na siebie, ukłonili się, zawahali i rozeszli w przeciwne strony.

Chodzących po promenadzie podziwiał tłum kąpielny, tak nadzwyczajne było dzisiejsze wystąpienie tych zwykle porządnych ludzi.

Trymdyszewski sapał niezwykle, ocierał fularem pot z czoła — stawał i dobywał tabakierki, ale wziąwszy szczyptę niedoniósł jej nigdy do nosa myślącego głęboko. Trzyprztycki prostował się i garbił, jak człowiek, który dostaje cięgi niespodziewane. Długo jego figura była nadzwyczaj tragiczną. Poprawiał surduta, brzękał brolekami, patrzył na zegarek dla kontenansu. — Nadaremnie! kontenans nieprzychodził.

Co zaś najdziwaczniejsza: to to, że obaj panowie wychodząc z dwóch końców ulicy, regularnie na jednem miejscu, na strzał pistoletowy może, obracali się i wracali dawną drogą, unikając spotkania; oni co tak o gorzelniach, browarach i bankach rolniczych mówić lubili.

XVII.

Romans udał się Adamowi nad wszelkie spodziewanie. Nazajutrz zaprowadził go Twardziel do domku Aurelii, gdzie sama jedna z ciotką starą i słabowitą mieszkała. Pani Aurelia przyjęła ich z majestatyczną godnością wczorajszą, z lekkim atoli uśmiechem ironii na ustach. Rozmowy przedmiotem były sztuka, poezya, wielkie kwestye społeczne, które w stosunkach z kobietami są często środkami kokieteryi lub awantgardą miłości. Aurelia sądziła o wszystkiem jasno, śmiało i z pewnym rodzajem namaszczenia. Z tych kwestyj zeszło małe towarzystwo na ziemię: czego Adam pragnął najbardziej. Na domiar szczęścia ironiczny Twardziel wyniósł się pod jakimś pretekstem.

— Pani długo tu jeszcze zabawi w kąpielach? zapytał Adam.

— Póki będzie można. Moje zdrowie wymaga tego.

— Pani cierpiałaś wiele, któżby nieprzyznał, że pani przeszłaś całą skalę cierpień?

— Oskarżasz mnie pan, widzę, że pokazuję moje cierpienie. Niepoczuwałam się do tej winy. Zanadto dobrze wiem, iż cierpienia towarzyszką jest samotność.

— Samotność? więc pani niemasz żadnej wiary w ludzi?

— Prawie żadnej.

— A gdyby znalazł się człowiek, któryby pani tę wiarę chciał przywrócić? rzekł Adam z imfazą, człowiek, coby ocenił całą podniosłość jej ducha, całą wielkość i szlachetność jej zbolałego serca...

Pani Aurelia uśmiechnęła się dziwnie.

— Niewierzę w byt takiego człowieka. Słyszałam to wiele razy, dla tego muszę to uważać za frazes.

— A gdyby to był człowiek, który także wiele cierpiał?

— Zapewne: cierpienie jest jedyną jeszcze rękojmią. Tylko nieszczęśliwi rozumieją siebie nawzajem.

Podobne rozmowy obiecywały Adamowi wiele. Co jednakże dziwne, to to, że się w swoim stosunku do Aurelli o krok dalej nieposuwał. Na koniec każdej deklamacyi wsadziła Aurelia jakąś sentencyą namaszczoną, niby kropkę na koniec sensu i ta sentencya hamowała dalszy ciąg zapału. — Nieodgadniona kobieta, szeptał Adam. Jakaś wielka tajemnica musi wisieć czarnym nad nią całunem!

I to dziwna, że Aurelia zręcznie wymijała oświadczenie Adama. Adam był w rozpaczy i obiecywał sobie być śmielszym za każdą razą, a za każdą razą tchórzył. W końcu zaczęło go to nudzić i niecierpliwić. Radby był z górnych sentymentów zejść do niższych, osobistych, z koturnu na podeszwy swych lakierów. Czuł on mimowolnie ile lodowatości było w tem wzajemnem porozumiewaniu się i ważeniu dusz. Od czasu do czasu wracała gorąca tęsknota za stosunkiem z Helunią, która wzrosła do najwyższego stopnia, gdy pewnego ranka ujrzał odjeżdżający koczyk staroświecki kapitanostwa. Helunia była bladą bardzo, i smutnem kiwnięciem głowy, odpowiedziała na ukłon Adama. Kroki jego mimowolnie zabłąkały się ku opuszczonemu domkowi pod lasem — stał przed nim długo, długo i łza zakręciła mu się w oku. Wchodząc w aleję spotkał się nagle twarz w twarz z Aurelią.

— Kapitanostwo wyjechali, rzekła Aurelia.

— Wyjechali, pani! odrzekł Adam nabierając kontenansu.

— Biedna Helunia! nieznałam sympatyczniejszego dziecka. Czy pan tego nieuważałeś? Ach prawda! zapomniałam! dodała z uśmiechem. Co za gracya wiejska?! Prawdziwa Dryada grecka! Gdybym była malarzem, wzięłabym ją za model do illustracyi Fausta. Byłaby z niej doskonała Gretchen. A z pana — Faust naturalnie, rzekła z ironią.

— Ja Faust? Pani! rzekł zdziwiony Adam, skrzywiwszy się na artystyczne ocenienie Heluni.

— Czy niesłusznie? Pan myślący tak głęboko, a ona prosta, poczciwa dziewczyna. Albo naprzykład pan byłbyś Hrabią a ona Zofią z Pana Tadeusza.

— Pani żartujesz ze mnie?

— Bynajmniej. Rozdzielam rolę. Przed chwilą wyglądałeś pan jak „hrabia“ w długim, angielskim surducie.

— Tylko żem patrzył na domek, nie na pałac.

Adam oddalił się spiesznie. Pierwszy raz humor Aurelii przykre na nim uczynił wrażenie. Zaczął pojmować różnicę między ciepłem stosunkow naturalnych, serdecznych, a sztucznemi stósunkami, opartemi na jakiemś pojmowaniu się i ocenianiu napowietrznem. Przypomniał sobie, że Helunia choć niewykształcona, rozumiała o wiele więcej jego duszę, niż uczona Aurelia. A co najważniejszego, Helunia go podziwiała i kochała; Aurelia patrzyła krytycznem okiem.

Pomimo tego honor urojony kazał mu wytrwać na stanowisku. Adam postanowił stawić czoło sentencyom Aurelii i oświadczyć się jej z swoją miłością.

XVIII.

— Pani! mówił Adam uroczystym głosem, to co dzisiaj mam powiedzieć, dawno mi cięży na sercu. Jak każdy człowiek na świecie pragnąłem szczęścia w miłości. Spotkał mnie zawód — zawód nie z mojej winy. Niezostałem zrozumianym i ocenionym. Byłem nieszczęśliwy. Poznałem, że dla miłości trzeba obopólnej równości dusz, trzeba równego lotu myśli i uczuć, inaczej niewystarczy jedna strona drugiej. Wtedy poznałem panią i raz jeszcze zamarzyłem o szczęściu. Poczułem gorącą żądzę uszczęśliwić istotę, którą pojąłem i oceniłem. Oto wszystko — czekam mego wyroku.

Ta wyuczona oracya cudowne na pani Aurelii sprawiła wrażenie. Twarz jej poważna przybrała uśmiech ironiczny na pół a na pół poważny, głos tragiczny opuścił ją i najnaturalniej w świecie odezwała się:

— Panie Adamie, dosyć tej komedyi. Schodzę z koturnu, zejdź że pan także.

— Cóż to znaczy?

— To znaczy, że każde słowo pańskie tchnie fałszem, którym mnie i siebie samego chcesz okłamać. Po pierwsze, czujesz pan obecnie doskonale, że w stosunku z Helunią nie ona, ale pan winny, boś chciał od niej tego, o czem sam niewiesz, czego już dzisiaj niechcesz. Po drugie przekonanym pan jesteś doskonale, że dla miłości trzeba tylko jednej rzeczy tj. miłości, tj. tego cudownego tchnienia niebios, które niszczy wszelkie różnice stanu, wychowania i wykształcenia, które ślepego czyni jasnowidzącym, a widzącego ślepym. Po trzecie: oświadczasz mi się pan w chwili, w której go znudziłam, jako ideał kobiety, w której koniecznie muszę zejść z koturnu, aby pozostać chociaż przyjaciołką pana.

Adam stanął jakby piorunem rażony.

— Panie Adamie, dodała Aurelia biorąc Adama za rękę i patrząc mu z poczciwą filuternością w oczy, czy to nieprawda?

— To tylko prawda, rzekł Adam, że ani pani, ani siebie poznać już nie mogę.

— Ach! więc straciłam mego wielbiciela, zawołała Aurelia śmiejąc się. A jeszcze gotów pogniewać się na *serio*. Czemu też Napoleona nie widać?

Adam spojrzał zdziwiony na Aurelią. W tejże chwili wszedł Napoleon.

— O wilku mowa, a wilk idzie—rzekła, Aurelia podając rękę Twardzielowi. Wiesz pan co, jestem w niemałym kłopocie.

— Więc już? zapytał Twardziel. — No! nic strasznego. Kochany Adamie, przypomniej sobie naszą rozmowę przed dwoma tygodniami. Mówiłeś o pani Sand.

— Pamiętam.

— Wtedy uczyniłem ślub wykurować cię. I zkonfederowałem się na to z panią Aurelią, obecnie —

— Ha!

— Obecnie narzeczoną moją, w której się zakochałem po uszy, powiadam ci.

— Ty!

— Ja! Notabene, o mnie nie gada sentencyj, jak tobie. Wyuczyłem moją przyszłą roli, a że pojętna i zgrabna, doskonale ją odegrała. Nie gniewaj się: ja to uczyniłem z przyjaźni dla ciebie, a ona — dla Heleni.

— Więc pani kochasz Helenię?

— Moją poczciwą, drogą, złotą Helunię? któżby jej nie kochał? Spodziewam się, że i pan teraz —

Adam nic nie odpowiedział. Niewiedział czy się gniewać, czy śmiać, czy płakać. Obrał nareszcie to drugie.

— Ha! ha! ale ktoby był się spodziewał. Jak on to cicho robił. Niedarmo nie było go po całych dniach w domu.

— Tak — tak — przyszła kreska na Matyska, rzekł Twardziel.

— No, a wesele kiedyż będzie?

— Zaraz, zaraz! Urządziłem dom, wszystko gotowe!

— Bo to już taki w gorącej wodzie kąpany! dorzuciła Aurelia z wyrzutem napół a napół z śmiechem.

— Więc zgoda między nami! zawołał Twardziel.

— Zgoda, zgoda! odrzekł Adam podając ręce narzeczonym.

Dla ciekawych czytelników dołączyć należy coś z życiorysu pani Walter. Była ona córką biednych rodziców, i od najmłodszych lat pracowała dla ich utrzymania, dając lekcye na fortepianie i lekcye śpiewu. Ten entuzyazm skłonił ją, że po śmierci rodziców oddała rękę młodemu i pełnemu poświęcenia człowiekowi. Dzieliła ona z nim trudy i niebezpieczeństwa — i na jej rękach umarł z ran odniesionych w nieszczęśliwej wyprawie. Odtąd żałoba nieopuszczała pięknej Aurelii, ale nieopuszczał ją także hart męski i siła jej uczuć. Twardziel od pierwszej chwili poznał się na niej i zakochał bardzo. Ona nie mogła się oprzeć miłości człowieka, który usposobieniem i dążeniami przypominał jej nieboszczyka. — Zdawało się, że sam Bóg zesłał Twardziela na pociechę i w nagrodę biednej Aurelii.

XX.

EPILOG.

Wkrótce po wyjeździe z kąpiel, odbył się ślub Twardziela z Aurelią. Byli kapitanowstwo, był Adam. Jako drużba miał sposób zbliżenia się do drużki Helenci. — Wesele odbyło się z staropolską kordyalnością. Dzięki staraniom nowożeńców, Adam ma nadzieję, że po niejakim czasie i jego z Helencią się odbędzie.

Trzyprztycy i Trymdyszewscy wyjechali z kąpiel nieosiągnąwszy celu swych życzeń. Notabene była to już trzecia defilada z pannami po kąpielach. Mówią, że oba domy zgodziły się na to, że w krajowych kąpielach niewypada im już bywać dla komerażów, intryg i bajek, i że na przyszły rok wyjadą do Maryenbadu lub Karlsbadu.

Ale... ale... O pojedynku obu panów różne chodzą wieści. Jedni mówią że nieprzyczedł do skutku z przyczyny słabości hrabiego na fluksyą, a Trymdyszewskiego na podagrę; inni, że przyszedł, ale z bardzo komicznemi szczegółami. Najciekawszą wersyą przytaczamy.

Było to na małej łączce wśród lasu. Sekundanci stanęli z przeciwnikami i doktorem Kręcickim na wyznaczonej arenie.

— Któż z panów drugiego wyzwał? zapytał Twardziel.

— Jakto, jakto? kto kogo? rzekli jąkając się i kłapiąc zębami obaj panowie.

— Bo jużcić od tego zależy, kto ma pierwszy strzelać.

— Kto pierwszy? My obaj siebie naraz wyzwali.

— Jakże to być może?

— Tak było. — Niezawodnie.

— Sekundanci parsknęli śmiechem. Ano! to panowie razem strzelać będziecie na znak dany chustką.

— Możemy naraz zginąć, szepnęli jednogłośnie. Ale cóż, kiedy honor każe!? Honor ten był w postaci obu pań małżonek.

Sekundanci, dusząc się od śmiechu, nabili pistolety, sypiąc prochu po koniec luf, z lekka zatykając je kłakami. Podano pistolety, panowie stanęli.

— Tak! prosto — lufę mierzyć w sam łeb przeciwnika, mówił Twardziel do Trymdyszewskiego.

— Ależ to morderstwo?

— Patrz pan! on także tak mierzy!

Obaj panowie zamienili się w posągi, skostniałe przed śmiercią — tylko ręce trzęsły się, jak dwa konary poruszane wiatrem. Dano znak—dwa głośne strzały padły i odbiły się tysiącem ech po lesie..... Na ten głos nie dwa trupy tylko... ale kilkadziesiąt padło na plac boju. Padł albowiem Trymdyszewski i Trzyprztycki - a z drzew otaczających skoczyła w koziołkach hurma kawaleryi kąpielnej. Ogromny śmiech zatrząsł lasem.

Kręcicki, wyexaminowawszy ciała, rzekł każdemu do ucha:

— Wstań pan! nie jesteś pan nawet ranny.

I o cudo! obaj panowie wstali. Od czasów Appoloniusza z Tyany, który umarłych wskrzeszał, żaden uczeń Eskulapa większego nie uczynił cudu.

Taką jest jedna wersya licznych podań o pojedynku Trzyprztyckiego z Trymdyszewskim.

Mateusz Wszędobyła.

WYPRAWA DO MOGIŁY.

(Najprawdziwsze zdarzenie.)

Ciąg dalszy.

W Mogile odpust trwający cały tydzień, jest ważnym dla Krakowianów i Krakowianek. Spacery na Wolę, Bielany i inne urocze miejsca w okolicy starego Grodu leżące, ustają na cały ten tydzień. Wszędzie cisza i spokój, tylko w Mogile wre życie. Wszystko co żyje spieszy na odpust. Nie piechotą; to dorożką, nie dorożką to wozem chłopskim, których mnóstwo czeka codziennie, przez cały czas odpustu, za mogilską rogatką, i zabiera jeszcze większe mnóstwo osób na swoje na prędce urządzone siedzenia, biorąc od osoby po 10 groszy. — A *wszyscy* i *wszystkie* jadą z pobożną myślą, jeżeli nie modlitwy, to przynajmniej zabawy i wesołego przepędzenia dnia całego. Przejażdżka do Mogiły podczas odpustu to znaczy tyle co pójście na bal w karnawale. Jak tu, tak i tam odbywają się polowania na upatrzonego, domniemanego, przypadkowego lub upatrzyć się mającego. Kto w Mogile dwa słowa z osobą drugiego rodzaju wymieni, już się w niej kocha — gdy jakiś adonis zaprosi jaką rodzinę na szklankę kawy z kromką prądnickiego chleba z masłem, oho, już wszyscy na całe gardła wrzeszczą, że już się oświadczył, a gdy uchowaj Boże jaki młodzieniec pomoże wtarabanić się której z nich do powozu, dorożki lub podsadzi do jednego z omnibusów mogilskich, to jest, wozu drabiniastego i jeszcze do tego w rękę pocałuje — wtenczas już wszystko, co żyje, do ślubu się gotuje, który się najpewniej odbędzie jutro o godzinie piątej u Panny Maryi lub w innym pierwszym lepszym kościele.. .....

Między innemi dorożkami pędzącemi na odpust i wiozącemi tysiące nadziei, które najczęściej zawiedzionemi zostają, sunie się także landara ukrywająca w swoich wnętrznościach szanowną figurkę Jeremiasza i jego dwóch towarzyszek.

Henryk— kuzynek Jeremiasza, chłopak zgrabnie zbudowany, blondynek o pełnem niebieskiem oczku, zgrabnym wąsiku, czeka z jednym ze swoich przyjaciół, również przystojnym młodzieńcem, na wujaszka. Powóz nadjeżdża. Naprzód przepisany program co do prożby o przyjęcie do powozu odbywa się. Młodzieńcy proszą, wujaszek na żaden sposób przystać nie chce: zżyma się, gniewa, łaje... panie wstawiają się... i młody doktor siada z towarzyszem w dorożkę. Obaj zajmują miejsce na przedzie. Pan Jeremiasz wciska się jak świder między obie panie... i ginie w tyle powozu, jak kamień w wodzie.. a suknie pań jak fale przykrywają go zupełnie. Tylko podeszwy małego człowieczka sterczą nad siedzeniem i dają świadectwo o jego istnieniu.

Nie wiem dla czego panna Zofia jakoś nagle humor odzyskała. Czy komiczne zniknięcie pana Jeremiasza taki rumieniec na jej twarzyczkę wywołało? — tego także nie wiem. To tylko wiem z pewnością, że pan Henryk był nadzwyczaj wesoły, uprzejmy, że także rumieniec wystąpił na twarz jego — co wprawdzie mogło także z wielkiego upału pochodzić— że, gdy pan Jeremiasz, wskutek przestrachu, iż tak nagle wpadł w jakąś otchłań, gdzie mu świeżego powietrza zabrakło, czkawki dostał—a pan Henryk wyskoczył dla niego po wodę do karczmy, a zarazem pannie Emilii, przyniosłszy tej ostatniej, z taką gracyą podał, tak się uśmiechnął, tak oczkami zawrócił i westchnął czy odetchnął — co także wielkiemu gorącu przypisać można, że nareszcie, nie zważając wcale na etykietę, którą w obecnej chwili przedstawiała pani Naczelnikowa, nie troszcząc się wcale o mamunię, gdy powóz stanął na miejscu przeznaczenia, nasamprzód podał rękę pannie Emilii, i prawie ją wyniósł z powozu i postawił na ziemi. Wprawdzie była to z jego strony wielka konfidencya, ale zważywszy, że stopień u dorożki był mocno nadwerężony i że panna Emilia mogła dlatego bardzo łatwo jaki szwank ponieść, trzeba mu przebaczyć tę śmiałość — co mówię nie tylko przebaczyć ale nawet podziękować, jak to uczyniła panna Emilia, okrasiwszy swoje usteczka uśmieszkiem, ale to uśmieszkiem, któryby nawet Karola XII, słynnego nieprzyjaciela płci pięknej — a z tego powodu i barbarzyńcy niesłychanego — rozbroić zdołał: to też pan Henryk był oczarowany. Ale pan Jeremiasz jakoś nie był z tego zadowolony. I jemu barbarzyńcy ten uśmiech nie podobał się. Już to całe obejście się pana Henryka z panną Emilią i nawzajem, panny Emilii z panem Henrykiem nie przypadało mu do gustu. Jego delikatny nosek wietrzył coś złego i wyciągnął się ku dołowi, to jest spuścił się, jak to powiadają, na kwintę.

— Trzeba radzić—zamruczał pod nosem, zgrzytnąwszy ząbkami i pocierając całą dłonią zjeżonego czuba. Trzeba radzić — bo..... Szturchaniec, wymierzony ręką Naczelnikowej między łopatki malutkiego człowieczka, przerwał mu rozmyślanie *jak radzić?*

— Przecież tutaj stać nie będziemy? — wyrzekła gniewnie szanowna matrona. — Jesteś pan mistrzem ceremonii, więc prowadź nas gdzie pod dach, bo słońce dopieka.

— Zaraz, zaraz pani dobrodziejko — to mówiąc Jeremiaszek wskoczył do dorożki i wyjął koszyk z wiktuałami. Lecz pani Naczelnikowa z niecierpliwością przyjęła ramię kolegi Henryka, który z panną Emilią już przedtem ku klasztorowi poszedł.

— Jestem zgubiony człowiek — zapiszczał Jeremiasz, poznawszy manewr obu pań; ale pan Jeremiasz nie jest pospolity człowiek, ma ducha przedsiębiorczego, ryzykuje — a jak tu nie ryzykować, gdzie tylko pozwoliwszy sobie stułą ręce związać, można złapać ciężką szkatułkę a z nią na dodatek przystojną pannę, więc tedy zaryzykował.. nogi—i puścił się cwałem za zbiegami.

— Nie tu, nie tu drogie panie, wołał na obie pary skręcające z drogi i przeciskające się przez tłum, w celu dostania się do jednego z namiotów nad którym wisiała tablica z napisem: „*Tronki wszelakkowych gatunkuf jako tysz i kawwa, pod śpiewającom ribą.*“

Nie tu, nie tu, tam nas zedrą — do tego namiotu, do tego—to mówiąc wskazał drugi, obok poprzedniego stojący szałas, w którego otworze, drzwi przedstawiającym, stał jakiś mężczyzna, z ryżowemi wąsami i hiszpanką, z wzniesionym w górę kuflem piwa, zachwalając je mocnym głosem. Temu to jegomości rzucił się Jeremiasz na szyję, nazywając go drogim, kochanym, jedynym przyjacielem, w którego szałasie skonsumuje skromny podwieczorek z zaproszonemi gośćmi.

Całe towarzystwo weszło do namiotu i zajęło jeden koniec stołu.

— Czy dostaniemy czekolady?—zapytała Naczelnikowa gospodarza?

— Do usług wielmożnej pani dobrodz.

Jeremiasz struchlał, ależ dobrodziejko, to... to niezdrowo... jeszcze zaszkodzi... bąkał Jeremiasz.... takie gorąco.... czekolada psuje krew... możeby lepiej kurczaka... ale i to nie... zawcześnie... zawcześnie...

— Ale cóż mi pan dysponujesz, co jeść będę i kiedy?— mówiła niewzruszona Naczelnikowa—ot przypilnuj pan lepiej żeby było pięć szklanek czekolady, tylko dobrej, już lepiej więcej zapłacić.

Jeremiaszowi pot zimny na twarz wystąpił.

— Wielki Boże... pięć szklanek... już lepiej więcej, i lepiej zapłacić — westchnął potężnie... ścisnął pięści ale tylko w kieszeni i usiadł na pół umarły, a czarne okropne myśli osiadły na jego mózgu i przelatywały lotem błyskawicy to do serca to do woreczka, w którym spoczywały pieniążki, tak marnie rozejść się mające. Być może, że ten straszny cios byłby go dobił... ale przecież jakiś promyczek nadziei przebił czarne chmury i pokrzepił z rozpaczony umysł... a tym promykiem była Emilia.. szkatuła.. szkatuła, która w umyśle Jeremiasza przedstawiała się jakby opromieniona aureolą; naturalnie złotą, pochodzącą z w wnętrzu jej ułożonych w kupki ruloników i piramidek dukatów.

Wniesiono czekoladę, pan Jeremiasz rzucił się na nią jak wilk na jagniątko, już nie dbał czy obładuje żołądek czy krew popsuje, tylko jadł co zjeść był wstanie, bo juźcić kiedy już nieszczęście chciało, że będzie musiał zapłacić, to niechże już wie przynajmniej za co ma zapłacić.

Po spożyciu czekolady i wysłuchaniu mszy świętej zaproponowała Naczelnikowa przechadzkę na kopiec Wandy. To także był cios dla biednego Jeremiasza. Już przy

śniadaniu spostrzegł, że tak pani Naczelnikowa jak i panna Emilia mają niezgorsze apetyty, cóż to dopiero będzie po tęgim spacerze. Łzy zakręciły mu się w oczach, ale nadzieja posagu osuszyła je. Żeby choć podczas tej przechadzki prowadzić pod rękę Emilię—ale gdzie tam, ladaco Henryk już naprzód z nią poszedł. Rad nie rad podał niziutkie ramię wysokiej Naczelnikowej, a że tej wzniosłej—wzrostem—matronie nie poręcznie było schylać się do ręki Jeremiasza, który, pomimo spinania się na palcach, wyglądał jak lalka przy słusznej dziewczynie, więc pochwyciła go za rękę a idąc spiesznie chcąc córkę dogonić, wlekła go koło siebie jak nauczyciel krnąbrnego chłopczynę prowadzi z gniewem do stołka, na którym mu ma zasłużoną karę wymierzyć. Nóżki pana Jeremiasza ledwie się dotykały ziemi, prawa ręka, za którą go trzymała Naczelnikowa, w górę wyciągnięta, drugą ręką podtrzymywał kapelusz na głowie.

Zasapany Jeremiasz spostrzegł nareszcie siedzących obok siebie pod drzewem Henryka i Emilię. A choć to nic dziwnego nie było, że dwoje młodych ludzi wyprzedziwszy towarzystwo usiadło sobie pod wierzbą i czekało na resztę osób, przecież to zadziwiło pana Jeremiasza, nawet oburzyło. Zbliżył się do Emilii i dość głośno i krótko przemówił:

— Fe, wstydź się pani.

Emilia się nic nie odezwała, ale podawszy rękę Henrykowi, poszła z nim dalej ku Wandzie.

Tu już zabrakło cierpliwości panu Jeremiaszowi. Rozgniewany nie chciał już podać ręki pani Naczelnikowej, ale odgrażał się na Henryka i robił gorzkie wyrzuty szanownej matronie.

— Ach, żeby ten smarkacz — wołał zaciskając pięści, żeby on był o piętnaście lat młodszy, tożbym mu dopiero łaźnię sprawił. Nauczyłbym go. Ale że pani dobrodziejka na to pozwala, taki wiercipięta... to strach.. to zgroza...

— Ale uspokój się pan, panie Jeremiaszu! mitygowała go Naczelnikowa, wszystko dobrze będzie.

— Ale ja osioł, ja osioł... po co ja tego hultaja namawiał do jazdy, — wprawdzie chciałem tym sposobem... przy tych słowach uciął, zastanowił się przecież w porę stary sknera, że nie wypada wyjawiać powodu, dla którego zabrał kuzynka do Mogiły. Więc milczał już, chociaż miał wielką ochotę nazłorzeczyć choć półgłosem kuzynkowi i jego przyjacielowi — zbrodniczego targnięcia się na jego kieszeń, wypiwszy z takim apetytem czekoladę.

— Powinni byli obaj łotrzy podziękować albo wymówić się pod jakimkolwiek pozorem a wreszcie kiedy wypili to zapłacić— mruczał pod nosem, przemyśliwał jakby tu obydwóch przy podwieczorku przy innym stole albo już na drugim końcu posadzić.

Towarzystwo zabawiwszy z pół godziny na kopcu wracało na podwieczorek.

W namiocie siedziało już przy stole kilka osób i spożywało dary boże. Pan Jeremiasz chcąc jak najprędzej wydostać się z Mogiły zajął się natychmiast ustawieniem wiktuałów na stole. Wyjął więc kurczęta, tort, kiełbasę i nareszcie kilka butelek wina, z których jednę postawił przed Naczelnikową, resztę zaś, to jest pięć, wstawił pod swoje krzesło.

Pomimo wyraźnego zakazu wujaszka, Henryk zajął miejsce koło Zofii. Zdesperowany Jeremiasz usiadł z drugiej strony.— Koło niego po lewej ręce siedział jakiś wysoki i otyły mężczyzna; przed nim stało trzy butelki wina.

Jeremiasz, nalawszy Naczelnikowej kieliszek wina, schował butelkę pod stołek a wyciągnąwszy inną nalewał z niej raz za razem do swojej szklanki i wypijał duszkiem. To zdziwiło Naczelnikową, ale pan Jeremiasz zapewniał, choć go nikt o to nie pytał, że on sobie nigdy nie żałuje i że ma mocną głowę i że się nielada czem upije.

Wesołe dykteryjki koło Jeremiasza siedzącego jegomości rozweselały całe towarzystwo; pan Jeremiasz głośnym śmiechem wtorował powszechnej wesołości a zajęty wypijaniem swojego wina, którego już trzecią butelkę napoczął, nie widział wcale jak czule rozmawiał Henryk ze swoją sąsiadką, jak ją w rękę pocałował, jak ona się zarumieniła, a on westchnął, jak znowu potem on się zarumienił a ona westchnęła, jak nareszcie oboje się zarumienili, oboje westchnęli, a wymieniwszy tym *szeptem*, co to jak miód z ust płynie kilka wyrazów, wyglądali wcale na zupełnie ze siebie zadowolonych ludzi. Wszystkiego tego nie mógł pan Jeremiasz uważać, bo u niego było teraz głównym celem pić wino a tem samem przekonać ludzi, że on nie jest skąpym i że sobie niczego nie żałuje. Wyciąga nareszcie ostatnią butelkę, nalewa z niej... pije... znowu nalewa po małym przestanku... pije... i o dziwo... podskakuje na stołku i krzyczy na całe gardło:

— Gody kanejskie... kanejskie... kalilejskie... gody — gody — gody... — i słowo stało się ciałem.

Jegomość siedzący obok Jeremiasza, podzielając zdanie całego towarzystwa, najsilniej przekonanego, że mały człowieczek zwaryował, pochwycił go silną ręką za kołnierz i kazał dawać postronków. Ale Jeremiasz ciągle krzyczał: Gody kanejskie. Galilejskie.... cud.... cud.... cud ... wreszcie uspokoił się, pociągnął ze szklaneczki wina a skąpo i roześmiał w kułaczek — jak to powiadają—oblizawszy się poprzednio.

Przyszło do płacenia. Naturalnie pan Jeremiasz nie miał nic do płacenia, gdyż wszystkie wiktuały ze sobą z Krakowa przyniósł. Jednak niegrzeczny gospodarz, żądał od niego od każdej flaszki wina którą ze sobą przywiózł po 10 groszy, a to za to, że pod jego dachem wypił. Wszelkie perswazye ze strony pana Jeremiasza żadnego wrażenia na barbarzyńskim szynkarzu nie robiły, który najstateczniej przy swojem żądaniu obstawał. Wszystkie całowania i cmokania oczów, brody i wąsów ryżowych gospodarza nic a nic nie pomagały.

— Panie gospodarzu — rzecze pan Jeremiasz nareszcie z rodzajem rezygnacyi — chodź pan na bok coś panu powiem... bo ja nie mogę kilku złotych za darmo zapłacić

Odeszli na stronę a pan Jeremiasz zaczuł w ten sens:

— Słuchaj panie — ja nie dam kilku złotych, bo ci się przyznam — tu jakby mu coś w gardle stanęło i dech zaparło; nareszcie silnie odchrząknąwszy wybełkotał spuściwszy na dół oczy... — nie mogę za flaszki wina płacić... bo... bo.. bo ja wina wcale nie piłem.

— Jakto pan wina nie piłeś? — mówi zniecierpliwiony gospodarz, a odwracając się od Jeremiasza w celu odejścia od niego dodaje: ot nie zawracałbyś mi pan głowy, tylko zapłacił co mi się słusznie należy.

Jeremiasz złapał go za połę od surduta, lewą ręką bił się w piersi, przysięgając różnemi frazesami, że w butelkach nie było wina, tylko woda. Żebym tak ręce i nogi na gładkiej drodze połamał, jeżeli prawdy nie mówię.

Gospodarz potarł z uśmiechem czuba, pociągnął mocno za hiszpankę i rzekł z uśmiechem:

— Ha, kiedy pan wodę piłeś, to zapłacisz pan po złotemu od butelki.

— Co? jak? za co? wrzasnął Jeremiasz.

— Za zachowanie sekretu.

— Jakiego sekretu! Żadnych sekretów między nami nie ma — ja wino...

— Ha, jeżeliś pan wino pił, to pan zapłać po dziesięć groszy od butelki — odpowiedział z flegmą szynkarz.

— Człowieku! – wołał Jeremiasz, głaszcząc po twarzy gospodarza, ale widać było z jego oczów, żeby go tak chciał mieć pod swojemi nogami i tratować jak padalca. Człowieku, miejże sumienie, nie rabuj ludzi na publicznej drodze.. mój koteczku... moje złoto.. jak się tak zaprawisz na małem, toś gotów posunąć się do największej zbrodni... ja ci przysięgam nad zbawienie duszy mojej, żem wodę czystą zafarbowaną pił... i za cóż ty chcesz człowieku bez sumienia odemnie po złotówce od flaszki... za co pytam się... za to żem pod twoim dachem własną z Krakowa przywiezioną wodę wypił, toć przecież gdybym jej nie miał ze sobą, to byś mi przecie dał nieludzki gospodarzu szklankę wody za darmo.

Jakoś wszystkie zaklęcia Jeremiasza nic nie skutkowały, bo szynkarz z zimną krwią mówił.

— A więc woda... to po złotemu od butelki... ja nawet silnie jestem przekonany, że woda, bo gdyś pan wypiwszy pół butelki, wstawił resztę pod stołek, ja ciekawy jakie też pan wino pijasz, wziąłem ją zręcznie a przekonawszy się że to zafarbowana woda, postawiłem ją napowrót na swoje miejsce. Otóż zapłać pan po złotemu od butelki bo inaczej pójdę i powiem całemu towarzystwu jakie to pan figle wyrabiasz.

Wszelkie zaklęcia, płacz, złość nie pomogły panu Jeremiaszowi i rad nie rad, z spoconem czołem, rozdartem sercem wysupłał sześć złotych i dał je szynkarzowi, aby tylko milczał.

Lecz w namiocie już o tem wiedziano, gdyż Jeremiasz siedząc jeszcze przy stole, roztargniony, nalał sobie do kieliszka z butelki sąsiada, którą też przed sobą postawił, a gdy wypił kieliszek i poczuł dobre wino, nie mógł pojąć jakim sposobem jego woda przemieniła się w taki nektar, i dla tego to zaczął wykrzykiwać: cud — cud — gody etc. Sąsiad zaś podczas rozmowy Jeremiasza z gospodarzem, chcąc sobie nalać wina, nalał z butelki Jeremiasza, która w skutek nierozmyślnego manewru małego człowieczka bliżej niego stała — i napił się naturalnie farbowanej wody. Cały figel sknery wyszedł na jaw, a gdy jeszcze zaczęto oglądać i wąchać flaszki pod stołem stojące, przekonano się, że malutki Jeremiaszek, chciał zamydlić wszystkim oczy.

Wchodzącego do namiotu przywitał śmiech ogólny, groźne spojrzenie Naczelnikowej, która sprawiedliwie była obrażona takim postępkiem Jeremiasza, i głośnym wykrzyknikiem „Wodopij" tłustego jegomości. Zaczęto z niego szydzić. Jeremiasz wymawiał się jak mógł, nic nie pomogło— drwiny i śmiech nie ustawały.

Wtedy to Jeremiasz do najwyższego stopnia rozjuszony, zaczął wyrzuty robić Naczelnikowej, która także rozgniewana na małego człowieczka, który jej dość ostremi słowy wymawiał, że go tylko na koszt naraziła, że wysysa jego krew, powiedziała mu że jest „dudek" siadła z córką do powozu. Henryk starał się umitygować wujaszka, ale ten odprawił go grubiańskiemi słowy i groźbami. Młody doktór nie wahał się długo, siadł razem z swoim przyjacielem do powozu i odjechał z Naczelnikową i Emilią do Krakowa.

Wtedy już ostatni stopień szaleństwa napadł małego człowieczka.

— Ha! wrzasnął nadludzkim głosem i załamał ręce — więc odjechali nie zapłaciwszy nawet za czekoladę. O jędzo! jędzo! I ja tyle pieniędzy straciłem i jeszcze „dudkiem" mnie nazwała, mnie który tyle wiktuałów nadarmo nakupiłem: kurcząt, kiełbasy, tortu, wina.... ha, wino.... woda... wino, on wziął sześć złotych a wszystko się wyjawiło. Rabusiu oddaj sześć złotych.

Ten ostatni przydomek był wystósowany do szynkarza, który siedząc na ławce i trzymając się za boki, płakał prawie ze śmiechu. Co jeszcze potroiło wściekłość małego człowieczka.

— Ha Rozbójniku ty się śmiejesz z mojego nieszczęścia — zapiszczał Jeremiasz i rzucił się jak wściekły na szynkarza — moje siedem zło.... Niedomówił reszty słowa, zawadził o stół stojący w pośrodku namiotu, a zastawiony szklankami, flaszkami z wódką i mnóstwem innych rzeczy, przewalił się jak długi na ziemię. Szkło zwaliło się z brzękiem i rozleciało się w tysiące kawałków; wódki polały się strumieniem.

Podniesiono na wpół nieżywego Jeremiasza, któremu rozpacz i strach zmysły prawie odebrały. Lecz nie koniec nieszczęściu: potłuczone szkło trzeba było zapłacić. Brakło pieniędzy, trzeba było zegarek zostawić.

Pan Jeremiasz powracał późnym wieczorem do domu, przez całą drogę, to targał włosy z rozpaczy, to wył przeraźliwie, to płakał jak dziecko. Przyszedłszy do swojéj stancyjki, położył się poczciwiec na swój barłożek a rozchorowawszy się na diękne przeleżał na nim sześć tygodni.

Wkrótce po wyzdrowieniu dowiedział się o związku małżeńskim zawartym między Henrykiem i Emilią i od tego to czasu wszystkie czwartki, jako w dzień ślubu téj młodej pary i wyprawy do Mogiły, suszy najzawzięciej, nie biorąc cały dzień nic w usta prócz wody. Na wykupienie zegarka, który musiał zostawić za potłuczone szkła, musiał pożyczyć pieniędzy od drewnianego kassyera; natomiast dał mu weksel i zamknął, się w kozie z której jak słychać dopiero po trzech Królach na drugi rok wyjdzie. —3—

Opisanie ryciny mód paryskich za miesiąc grudzień:

Ubranie pierwsze: Strój panny młodej. Suknia biała z mory francuskiej. Na spodnicy obrzutka kitajkowa naśladująca tunikę. Z przodu, od góry do dołu guziki kitajkowe i koronkowe. Gorset wysoki, okolony u góry koronką. Rękawy długie wycinane—obrzutka i guziki. Rękawiczki z guzikami perłowemi. Wual z jednostajnej blondyny. Wieniec z róż. —

Drugie ubranie. Suknia kitajkowa zielona. Na spodnicy sześć jednakich wolantów, gors fałdzisty. Berta z tej samej materyi co i suknia, ubrana podobnie do spodnicy. Rękawy krótkie bufiaste. Na głowie zielone pióra. Kolia i braselety bogate. Rękawiczki z guziczkami. Wachlarz chiński,

Ubranie trzecie. Suknia kitajkowa niebieska. Gorset fałdzisty. Rękawy krótkie. Na głowie czapka z niebieskich i białych piór. Zarzutka algierska w pasy. Braseletki i kolia z białych pereł. Rękawiczki z guziczkami.

Od Redakcyi.

Upraszamy o spieszne ponowienie przedpłaty, bo dzisiaj, nie łatwo na zapas drukować egzemplarzy, gdy je na już stęplowanym papierze drukować się musi.

Wiedząc jednakże, że nie wszystkim łatwo dopilnować terminu z powodu różnych zatrudnień, z powodu braku dostatecznej komunikacyi pocztowej i t. d. Redakcya pierwszy numer „Niewiasty" za rok 1861 przeszle wszystkim tego roku prenumerującym: nie mając wszakże zamiaru nikomu narzucać się, prosi, aby wszyscy niechcący na „Niewiastę" w 1861 r. prenumerować, raczyli numer pierwszy za 1861 r. odesłać (czyli raczej, aby go nie przyjmowali i opaski nie nadwerężali).

Prenumerata zamiejscowa wynosi:

Bez Mód			Z Modami		
Rocznie	7 złr. 20	centów wal. austr.	Rocznie	11 złr. 20	centów wal. austr.
Półrocznie	3 „ 60	„ „	Półrocznie	5 „ 70	„ „
Kwartalnie	1 „ 80	„ „	Kwartalnie	2 „ 85	„ „

Prenumerata w Krakowie wynosi:

Bez Mód			Z Modami paryskiemi		
Rocznie	6 złr. —	centów wal. austr.	Rocznie	10 złr. 20	centów wal. austr.
Półrocznie	3 „ —	„ „	Półrocznie	6 „ 60	„ „
Kwartalnie	1 „ 50	„ „	Kwartalnie	2 „ 80	„ „
Miesięcznie	— „ 50	„ „	Miesięcznie	1 „ 30	„ „

Prenumerujący za granicą ces. austr. płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 złr. 30 c. wal. austr. Talar pruski srebrny przyjmować się będzie przez cały 1861 rok za 2 złr. w. a.

Inseraty wszelkie, nie narnszające przyzwoitości pisma, przyjmowane będą za opłatą od wiersza petytowego 7 centów oprócz 30 c. na stempel za każdorazowe umieszczenie.

Pieniądze prenumeracyjne i za inseraty należy przesyłać **franco „do Redakcyi Niewiasty w Krakowie"**.

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu". — Rządca druk., **Antoni Rother.**